

Rozdział I

Płonący Pazur

Długie pasma mgły wisiały nieruchomo nad ziemią pomiędzy gęstą ścianą drzew a drewnianą palisadą niewielkiej leśnej osady. Szarości świtu nie rozjaśniały jeszcze promienie wschodzącego słońca. Wszędzie panowała martwa cisza.

Nagle delikatnie zaszeleściły liście.

Z gęstych, leśnych krzaków wyskoczył mały, szarorudy lis. Rozejrzał się nerwowo, zastrzygł uszami i pomknął przez wysoką trawę. Po chwili zniknął w zaroślach po przeciwnej stronie polany.

Niedługo po tym, w miejscu, z którego wybiegł, liście poruszyły się ponownie. Tym razem jednak nie rozległ się żaden dźwięk. Dłoń w ciemnej, skórzanej rękawicy rozchyliła gałązki. Powoli. Ostrożnie. Z głębokiego cienia wyłoniła się twarz przesłonięta szarą chustą.

Bystre oczy uważnie lustrowały polanę i palisadę.

W końcu zakapturzona postać przyłożyła dłoń do ust. Rozległo się ciche pohukiwanie, do złudzenia przypominające odgłos sowy.

Ze ściany lasu wyłoniły się trzy sylwetki. Wojownicy ubrani byli w brunatnozielone skórzane kaftany ściągnięte rzemieniami. Dolną część twarzy każdego zasłaniała szara chusta, głowy okrywały ciasno przylegające kaptury, a odsłonięte czoła pomazane były błotem.

Jeden trzymał w rękach krótki oszczep, dwóch pozostałych – napięte łuki.

Bez słowa ruszyli ku palisadzie, pochyleni, kryjąc się w wysokiej trawie. Poruszali się jednak z zadziwiającą szybkością, a mimo to czynili mniej hałasu niż lis, który przed chwilą przebiegł przez polanę.

Dotarli do ostrokołu. Jeden po drugim, błyskawicznie wspięli się po wilgotnych balach. Gdy tylko znaleźli się na szczycie, przeskoczyli na drugą stronę i zniknęli.

Cisza na powrót ogarnęła polanę.

Po pewnym czasie z głębi osady dobiegło głośnie krakanie. Echo poniosło je aż do ściany lasu. Krakanie powtórzyło się jeszcze dwa razy.

Ostatni dźwięk nie zdążył jeszcze wybrzmieć, gdy zarośla poruszyły się gwałtownie, szeleszcząc głośnie.

Wyłonił się z nich wysoki wojownik w długim, sięgającym kolan skórzanym kaftanie, przeszywanym drobnymi metalowymi kółkami. Na głowie miał spiczasty hełm. W dłoniach trzymał ogromny topór o ciemnym ostrzu i długim metalowym stylisku pokrytym dziwnymi znakami oraz pierścieniami. Młoda, przystojna twarz zdradzała zniecierpliwienie, w błękitnych oczach błyszczał gniew.

Przedarł się przez krzaki, nie zważając na czyniony hałas i skierował się prosto ku bramie w palisadzie.

Cztery postacie podobne tym, które wkradły się wcześniej do osady, podążały przy nim, rozglądając się czujnie.

- Dość już tego krycia się i czekania setny raz nie wiadomo na co! – powiedział ze złością – Ostrożność, ostrożnością Heredzie, ale bez przesady. Widać przecież, że nie ma tu Zdziczałych. Nie przystoi, aby Towarzysz Płonących Pazurów krył się po zaroślach, jak wystraszony szarak!

Dowódca oddziału Wydr, Hered tylko przewrócił oczami.

- Varnalu... – odparł, zachowując z wyraźnym trudem spokój – Moi ludzie dali znak, że w osadzie nie ma niebezpieczeństwa, ale nie sprawdzili jeszcze okolicy. Pozwól, że moje Wydry przepatrzą głębiej las. Nie podoba mi się, że nie widać żadnych straży. Ani na ostrokole, ani przy bramie. Niepokoi mnie ta dziwna cisza...

- Od sześciu dni straszysz mnie swoją "dziwną ciszą"! – przerwał mu bezceremonialnie rosły wojownik, poprawiając chwyt topora – Od dwóch twierdzisz, że ktoś nas obserwuje. Choć nie znaleźliście żadnego śladu tego „ktosia”. Zrządzisz tylko i zrządzisz przez całą drogę, choć Zdziczałych nie spotkaliśmy ani razu. Co gorsza – ani jednej Wielkiej Bestii!

Zatrzymał się i spojrzał w górę, na ciemny ostrokół.

- Cicho jest, bo ludzie jeszcze śpią. Strażnicy pewnie też się posnęli. Banda głupców. Dobrze, że Helvar chce, aby przenieśli się na Bezpieczne Ziemie, bo tutaj tylko patrzeć, jak Zdziczali robią z nich pieczeń.

Przeniósł wzrok na Hereda. Górował nad nim o przeszło o głowę. Jak i zresztą nad pozostałymi wojownikami Wydr.

- Od tygodnia przedzieram się z wami przez te przekłete chaszcze i nic innego nie robię, tylko czekam i czekam! Nie wiem po co Helvar kazał mi z wami iść. Sami mogliście zanieść posłanie.

- Wiesz dobrze dlaczego. Inne oddziały poszły bez Towarzysza, bo miały krótszą drogę. A w głębi Południowej Puszczy o Wielką Bestię nietrudno.

Varnal parsknął.

– Widziałeś po drodze choć jedną? Nawet śladów nie znaleźliśmy.

Ruszył ku bramie.

– Buty przemoczone, od tygodnia nie jadłem porządnego posiłku... Przekażmy starszym osady wiadomość od Helvara, najedzmy się, wypijmy w prawdziwych łózkach i wracajmy do Doliny.

Gdy zbliżyli się do bramy, jedno z wrót otworzyło się powoli, skrzypiąc przeciągle. W przejściu pojawił się wojownik Wydr i szybkim krokiem podszedł do Hereda.

- Znaleźliśmy ich. Wszyscy nie żyją... - zawahał się – Chociaż... może nie wszyscy.

Dowódca spojrzał na niego uważnie.

- Obawiałem się tego. To już kolejna osada. Zdziczali?

Wojownik krótko skinął głową.

- Co to znaczy – nie wszyscy? - dociekał Hered - Ktoś przeżył?

- Lepiej, żebyś sam zobaczył. Na środku osady.

Spojrzał pytająco na Varnala. Ten jednak minął ich bez słowa i przeszedł przez bramę. Wojownik Wydr przeniósł wzrok na dowódcę.

- Dlaczego nie poczekał w lesie? Robi tyle hałasu co stado dzików! Jeszcze ściągnie nam Zdziczałych na kark.

- Nie chciał czekać. Śpieszno mu do pieczeni i ciepłej pierzyny – odparł krótko dowódca i westchnął – Będzie jeszcze bardziej marudził, gdy dowie się, że nic z tego.

- Ci Towarzysze Płonących Pazurów! Za nic mają...

Dowódca przerwał mu krótkim gestem dłoni.

- Wiesz dobrze, że bez nich i bez Broni Przodków klan by nie przetrwał. A że wielu jest dumnych...

Wzruszył ramionami. Odwrócił się obrzucając uważnym spojrzeniem ciemną i głuchą ścianę lasu.

- Weź Morasta i przepatrzcie okolicę.

Wojownik zdawał się zaskoczony.

- Tylko we dwóch? Przecież...

- Dość już! – przerwał mu ostro Hered, po czym dodał ciszej – I bądź ostrożny. Dawno już nie zapuściliśmy się tak głęboko w puszcę.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem za Varnalem.

Zaraz za bramą dostrzegł pierwsze ślady krwi. Całkiem już szerniało.

Mijając kolejne domy z nieociosanych bali rozglądał się uważnie, łowiąc oczami każdy istotny szczegół.

Wyrwane drzwi.

Dziura w częściowo zapadniętym, słomianym dachu.

Wielka kałuża czarnej zaschniętej krwi w wejściu do domu...

Po kilkudziesięciu krokach dotarł do placu pośrodku niewielkiej osady.

Pięciu wojowników z jego siódemki i Varnal stało w milczeniu otaczając ogromny stos ciał. Był dwukrotnie wyższy od Varnala. Musiało ich być co najmniej pół setki.

W całkowitej ciszy patrzyli na zmasakrowane i spuchnięte zwłoki osadników. Nawet pobieżne oględziny wystarczały, aby odgadnąć jak zginęli – ciała pokryte były licznymi ranami zadanyymi przez noże i kamienne topory.

W powietrzu wisiał słodko-mdławy odór rozkładu. Nad trupami unosiły się roje czarnych much.

- Nie żyją od kilku dni – stwierdził spokojnie Visand zwracając się do Hereda. Był najstarszym i najbardziej doświadczonym z siódemki Wydr. Nie raz już widział, do czego byli zdolni Zdziczali. - Sprawdziliśmy wszystkie chaty. Znaleźliśmy tylko ślady walki i krwi. Wszystkie ciała są tutaj – wskazał ręką.

- Kalla powiedział mi, że to może nie wszyscy? Co to znaczy?

Wojownik zbliżył się do upiornego stosu, naciągając na nos zmoczoną wcześniej chustę. Odór gnijących ciał był tak silny, że kręciło się od niego w głowie.

Końcem oszczepu wskazywał poszczególne ciała.

- Starzec. Starzec. Wyrostek. Mężczyzna. Mężczyzna. Starowina...

Odwrócił się.

- Sprawdziłem dokładnie. Nie ma tu ani jednej młodej kobiety. Ani jednej dziewczyny. Nie ma też małych dzieci.

Hered długo patrzył na stos.

- Coraz więcej zagadek. Wrota nie zostały wyłamane. Osady nie spalono, choć zawsze to robią. Nie widać resztek pożartych ciał... Czemu zaciągnęli ich tutaj? Gdzie zniknęły kobiety i dzieci? Nic z tego nie rozumiem.

Spojrzał na Varnala.

Młody wojownik stał nieruchomo wpatrując się w ciała. Był blady jak śmierć.

Nigdy dotąd nie widział czegoś równie potwornego. Słyszał wprawdzie opowiadania o okrucieństwie Zdziczałych, jednak...

- To jest... to... - nie był w stanie wykrztusić nic więcej przez ściśnięte gardło – Bestie!... Dzikie bestie!...

Hered położył mu dłoń na ramieniu.

- Już dobrze, chłopcze. Wiem, jak to jest...

Odczekał moment.

- Teraz najważniejsze, coby Helvar dowiedział się o wszystkim. Jak najszybciej. Wracamy...

Przerwał mu odgłos szybkich kroków dobiegający od strony bramy. Wszystkie głowy zwróciły się jednocześnie w tamtym kierunku.

Wąskim przejściem między domami biegł w ich stronę Kalla. Zataczał się trzymając jedną rękę na gardle przebitym na wylot strzałą.

Dopadli do niego w kilku skokach.

Padł na kolana, podpierając się drugą ręką.

- Kalla! – krzyknął Hered klękając przy nim i chwytając go za ramiona – Ilu ich jest!? Skąd nadchodzą?!

Ranny uniósł głowę. Próbował coś powiedzieć. Na szyi i czole nabrzmiały mu żyły, lecz z ust wydobył się jedynie chrapliwy bulgot. Strugi krwi trysnęły na brodę i pierś.

Oczy wojownika odwróciły się białkami do góry. Padł martwy na ziemię.

Hered zerwał się na nogi.

- W tył! – krzyknął – Do palisady, na drugą stronę!

Rzucili się biegiem. Przecieli plac i klucząc pomiędzy chatami dopadli do ostrokołu. Pierwszy z wojowników wspiał się niego błyskawicznie. Wyjrzał ponad palisadą i krzyknął głośno. Rozpaczliwie.

- Idą z tej strony! Z każdej strony!

Zeskoczył na dół.

- Ilu? – rzucił Hered.

- Mrowie! Jesteśmy otoczeni!

Spomiędzy chat wybiegło trzech Zdziczałych. Na ich widok zawyli i rzucili się do ataku z kamiennymi toporami i prymitywnymi włóczniami.

Topór Varnala rozjarzył się błękitnym ogniem.

Potężny cios przeciął wszystkich trzech wpół. Dymiące ciała odrzuciło na boki.

– To zasadzka! – ryknął. – Czekali na nas!

Hered gorączkowo szukał wyjścia.

Na próżno.

Z kolejnych przejść między chatami wybiegli następni Zdziczali. Dwóch padło od strzał Wydr, lecz pozostali dopadli wojowników z wyciem. Varnal ponownie zamachnął się Płonącym Pazurem. Dwóch kolejnych napastników runęło martwych. Wydry osłaniały go oszczepami, utrzymując zwarty szyk.

Jeden ze Zdziczałych chwycił Visanda za gardło i zamachnął się kamiennym nożem.

Hered ciął z boku odcinając mu przedramię. Zdziczały ryknął z bólu. Ryk zamienił się w ohydne bulgotanie, gdy Visand wbił sztylet pod szczękę. Ostrze przeszło aż do mózgu. Ciało zwiotczało i osunęło się na ziemię.

Hered rozejrzał się z rozpaczą.

Ze wszystkich stron nadciągali kolejni. Wybiegali spomiędzy chat. Darli się na dachy i skakali prosto na nich.

Varnal walczył jak opętany. Płonący topór zataczał mordercze łuki rozrywając ciała, odcinając kończyny i miażdżąc czaszki. Wąskie przejście pomiędzy chatami wypełnił odór spalonego mięsa.

Nagle jeden z Wydr krzyknął i zachwiał się. Kamienne ostrze włóczni przebiło mu pierś. Hered krzyknął z wściekłością i jednym ciosem miecza pozbawił napastnika głowy.

Cofali się krok za krokiem, instynktownie, by nie dać się osaczyć. Daremnie.

Zdziczałych przybywało z każdą chwilą. Ginęli po kilku naraz, od straszliwych uderzeń Broni Przodków, lecz ich miejsce zajmowali następni. Napierali bez przerwy, niczym fala okrucieństwa i mord. Nie dbając o to ilu ich zginie.

Kolejny wojownik Wydr padł pomiędzy półnagie postacie, które momentalnie zakryły go wyjąć, dżgając i rąbiąc nieruchome już ciało.

Stanęli w kręgu, plecami do siebie.

Varnal, dwóch wojowników Wydr i Hered.

Nie było już miejsca na łuki i oszczepy. Z każdej strony otaczały ich wykrzywione, dzikie twarze. Uderzały kamienne topory i noże.

Przeciw nim błyszczały stalowe ostrza długich sztyletów i krótkich mieczy elitarnych zwiadowców klanu. I błękitny ogień Płonącego Pazura.

I choć setki Zdziczałych napierały na nich z furją, wciąż nie byli w stanie przełamać rozpaczliwej obrony. Ginęli więc dziesiątkami, kluci i cięci, paleni błękitnym żarem.

Wokół czterech wojowników narastał wał zmasakrowanych, spalonych ciał. W końcu tak wysoki, że Zdziczali musieli wspinać się po trupach własnych wojowników, by rzucić się na obrońców. I zginąć.

Burza kamiennych ostrzy dosięgła kolejnego wojownika Wydr. Upadł bez słowa. Potężny cios topora zmiażdżył mu czaszkę.

Zdziczali zawyli triumfalnie. Lecz ich krzyk zamienił się natychmiast w skowyt bólu – Varnal rzucił się naprzód. Płonące ostrze zatoczyło szeroki łuk. Błękitna smuga żaru przecięła pierwszy szereg rozrzucając ciała niczym szmaciane lalki.

Napastnicy wydali okrzyk grozy i cofnęli się.

- Varnalu! – krzyknął rozpaczliwie Hered – Zginiemy! Zginiemy tutaj!

Varnal rozejrzał się.

Z każdej strony cisnęły się w ich stronę Zdziczali. Nie było odwrotu.

Starł z czoła krew mieszaną z potem. Hełm, strącony uderzeniem topora, stracił jakiś czas temu. Z licznych ran na głowie spływały czerwone strużki krwi.

Przez chwilę patrzył przed siebie.

- Tak – odezwał się z przerażającym spokojem – Zginiemy, bracia. Dziś jest ten dzień!

Przesunął dłonią po pierścieniach na rękojeści topora. Ostrze rozbłysło tak potężnym światłem, że najbliżsi Zdziczali zasłonili oczy.

- Za Dolinę, bracia! Za klan! Śmierć Zdziczałym! – zaryczał Varnal, rzucając się przez wał trupów.

Hered i ostatni wojownik Wydr ruszyli z okrzykiem za nim, dźgając i tnąc bez litości.

Furia ich ataku odepchnęła przeciwników aż na środek osady. Parli naprzód, pchając przed sobą wyjących i kłębiących się bezładnie Zdziczałych. Nadzieja na nowo odżyła w ich sercach. Może jednak uda im się przebić! Byle dotrzeć do pobliskiej rzeki! Tam jest ratunek!

I wtedy właśnie, ze wszystkich stron rzuciły się na nich setki wojowników, w mgnieniu oka pokrywając ich falującą masą ciał.

Jeszcze przez moment błękitny płomień przecinał tłum, wyrzucając w powietrze poszarpane szczątki. Nagle rozbłysnął potężnie po raz ostatni, przeszywając kłębiącą się masę oślepiającym, krzaczastym wyładowaniem.

Na placu pozostał tylko drgający stos ciał, z którego dobiegały pojedyncze jęki.

Tłum Zdziczałych otaczający plac zamarł w ciszy tak, jakby na coś czekali.

Po chwili zaczęli się rozstępować tworząc szeroki szpaler prowadzący aż do bramy.

Ktoś nadchodził. Powoli, spokojnie.

Zdziczali kolejno padali przed nim na kolana, uderzając głowami o ziemię.

Mężczyzna nie zwracał na nich uwagi. Zbliżył się do dymiącego stosu trupów. Wykonał ręką krótki gest.

Kilkunastu Zdziczałych natychmiast rzuciło się do pracy. Odrzucali na bok zmasakrowane, wciąż jeszcze dymiące ciała. Odsłoniли szczątki Varnala. Mężczyzna zbliżył się i pochylił,

wyciągając rękę. Jednym ruchem wyrwał dziwny topór ze spalonej, poczerniałej dłoni. Ostrze topora znowu było ciemne. Nie pozostał na nim nawet ślad błękitnego żaru.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył powoli w kierunku bramy.

Zdżiczali bez słowa ruszyli za nim.